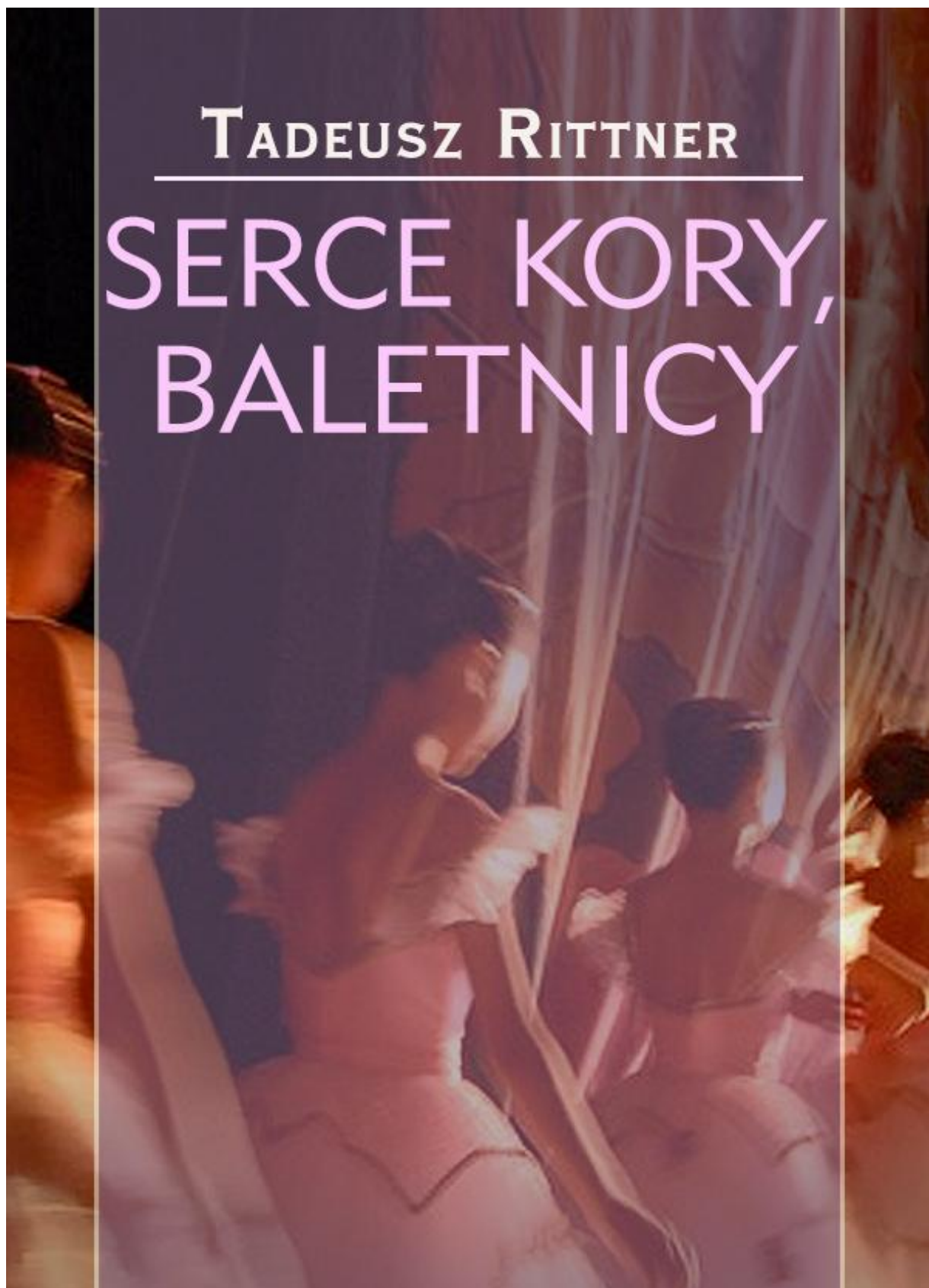


TADEUSZ RITTNER

---

SERCE KORY,  
BALETNICY



**Tadeusz Rittner**

# **Serce Kory, baletnicy**

**(Wariacka historia)**

.....

**Fundacja FESTINA LENTE**

Baletnicą była, kochało ją raz na tydzień kilkuset ludzi. Nawet kobiety i dzieci. A kilkunastu ludzi kochało ją stale. Ogółem było tych stałych więcej... ale z czasem pozabijało się bractwo. Bo była równie niemiłosierna jak piękna. Nazywała się Kora.

Taka niewiasta robi w mieście dużo ruchu i życia. Jest „dodatnim czynnikiem” po prostu... mimo wszystko co mówią na ten temat poważniejsze matrony. Kora, Kora się nazywała.

Oprócz tego miała także (głównie na afiszu) nazwisko rodowe, którego jednak nikt nie mógł wymówić i które było zresztą tak nierealne jak wszystkie rzeczy w teatrze. I miała znacznie już realniejsze brylanty od różnych żyjących i przedwcześnie zgasłych dżentelmenów, także willę za miastem, papiery w banku, talent w nogach i — masę wierszy od różnych poetów z wąsami i bez wąsów.

Bo wiersze pisali o niej, przeciw niej i dla niej. I nie tylko to. Truli, strzelali, kradli... Karierę dla niej robili, wyścigi wygrywali... W ogóle była stymulanssem, natchnieniem, biczem, ogniem...

Co do wierszy, robił je obecnie osiemnastoletni chłopak — zresztą wcale porządny i z dobrej rodziny.

Wiersze o niej — na razie. To pierwsze stadium. Wiersze-wybuchy, wiersze-oświadczenia... Dla siebie — dlatego, że kochał. Kora odczytywała je niekiedy publicznie, (kiedy chłopaka nie było w salonie). Pisał więc... przecie dla niej... ale nie wiedząc o tym. W ogóle... miał osiemnaście lat. Nazywał się Mariusz.

I był drugi, nazwiskiem Ryszard, który mógł się tym jedynie pochlubić, że go wydziedziczono — dla niej. I był trzeci, nazwiskiem Karol, który dla niej zgłupiał, bo niegdyś rokował wcale piękne nadzieje, ale kiedy poznał Korę, stracił wszystkie myśli, prócz jednej. I był czwarty, nazwiskiem Gustaw, który — chociaż syn chłopski — dla Kory został ministrem. I piąty, nazwiskiem Teofil, który niegdyś podobno mówił... a obecnie tylko na Korę patrzył i patrzył. I szósty, nazwiskiem Artur, który przez Korę stał się największym wynalazcą tego *par excellence* technicznego stulecia.

Było ich i więcej... ale tych sześciu to sztab generalny — minimum, bez którego salon Kory nie miałby fizjonomii (a niniejsze opowiadanie nie miałoby sensu).

Artur był z powołania technikiem. Miał wobec tego blond włosy i niebieskie oczy. I mimo miłości nie zapomniał, że jest technikiem. Tak głęboko i mocno tkwiło w nim powołanie (które jest zresztą może kwestia pigmentu).

I rzekł do siebie raz pewnego, zbudziwszy się nagle o trzeciej z rana:

— O czym to ja?... Aha, prawda, myślałem we śnie o tej niewątpliwej, a dotychczas jakoś technicznie nieużytkowanej sile, która jest w... biciu ludzkiego serca. O tym śniło mi się... Właściwie cierpię nieświadomie od dłuższego czasu z powodu tego absurdu, że — kocham. Po co? Po co? Jeżeli wszelka czynność serca, przechodząca miarę najkonieczniejszą do życia... jeżeli na przykład kochanie jest w ogóle zbytkiem, marnotrawstwem, to tym bardziej kochanie bez wzajemności, jak w tym przypadku, jak w moim przypadku. Co zrobić z tą nadwyżką? Czy nie dałaby się ona zamienić jakoś w ruch, w głos, w światło? Ale jak? Jak?

Kobiety lubią marnotrawstwo. Więc Kora wyśmiała naturalnie bezlitośnie praktycznego admiratora-technika. Zdeptała go niejako jednym słowem, opluła go niejako jednym spojrzeniem — *coram publico*. A cały salon (który był, rzecz prosta, wyłącznie rodzaju męskiego) aż zawył z nieklamanej radości. Ale za kilka tygodni...

Mianowicie: kobiety lubią także powodzenie. Dopóki myśliciel jeszcze myśli... bada, pyta się, drogi szuka, dopóty dla kobiet — nie jest. Zaczyna być dopiero z chwilą, kiedy z myśli „coś jest”. Coś, cokolwiek, co pewną wartość posiada... Jeśli nie wielki, nowy statek, poruszany nową siłą, to przynajmniej model, piękny, zgrabny model nowego statku.

...Za kilka tygodni stał model taki, wielkości małego roweru — niby rzecz poważna i rzeczywista,

niby prześliczne cacko — w salonie panny Kory, baletnicy teatru cesarskiego.

— I to będzie naprawdę długo się ruszało? — niedowierzała Kora.

— Tak długo, jak długo będzie żyło moje serce — powiedział Artur.

Salon (rodzaju męskiego) zawahał się przez chwilę, czy się śmiać, czy nie śmiać. Ale Kora miała twarz poważnie skupioną — więc nikt nie pisnął.

Po czym rozpoczęły się demonstracje na stawie przed willą.

Artur połączył „okręt” długim drutem z aparatem umieszczonym na sercu i puścił go na wodę.

— Rusza się, jedzie! — krzyknęła Kora z uciechą.

Statek płynął po gładkim zwierciadle wody jakby miał duszę parową albo elektryczną. Ale „motorem” jego było tylko — kochające serce Artura. I wszyscy to rozumieli; wszyscy spoglądali z podziwem, graniczącym z przerażeniem, na młodego mężczyznę, którego sentyment działał jak najordynarniejsza siła fizyczna.

Młody człowiek szedł, potem biegł... leciał... wzdłuż brzegu stawu za płynącym statkiem.

— Patrzcie na niego — mruknął naraz Gustaw z lekko drwiącym akcentem.

W tym leceniu lokomotywy (Artura) za okrętem było niewątpliwie coś komicznego. Wszyscy to uczyli, a kiedy Kora nieznacznie się uśmiechnęła, całe zgromadzenie wybuchło nagle głośnym śmiechem.

— Czy pan będzie biegł tak samo kiedyś nad oceanem Atlantyckim? — spytała niełitośnie baletniczka.

— Naturalnie, że... nie — odpowiedział w pełnym biegu Artur, sapiąc straszliwie. — Kiedy wybuduję kiedyś prawdziwy statek, będę siedział naturalnie w statku...

A po kilku krokach dodał:

— Razem z panią...

— Głupstwo! — krzyknął zuchwale Gustaw. — Kiedy będzie chodziło o poruszenie prawdziwego statku, wtedy serce pańskie okaże się chyba za nędzną siłą...

— Myśli pan? — sapał Artur.

Nagle stanął, odczepił się od statku i spojrzał na nich dużymi, przerażonymi oczyma.

— Myśli pan?... — powtórzył.

Ale nagle twarz jego się rozjaśniła i krzyknął:

— Już mam! Jeżeli moje serce okaże się za słabe, wtedy wezmę do pomocy i wasze serca. Zrobię baterie z serc was wszystkich, którzy kochacie najpiękniejszą kobietę tej ziemi... I będzie nas sześć serc (siedem z sercem Kory). Wszyscy siądziemy do statku, który zbuduję... i wszyscy będziemy tego statku duszą... i popłyniemy, dokąd się nam spodoba, a raczej dokąd się spodoba naszej królowej.

Projekt ten przyjęto z szalonym, głośnym entuzjazmem. Właściwie każdy wolałby pojechać z Korą we dwoje, ale zarazem czuł każdy, że to niemożliwe. I zresztą każdy w głębi duszy myślał:

”...Co za rozkosz być choćby w ten sposób połączonym z Korą! A może się zdarzyć, że w ciągu podróży innych diabli wezmą, a wtedy popłynę sam z tą jedyną kobietą... i będę jej panem; na jakąś dziką wyspę ją wywiozę i tam...”

Za kilka miesięcy okręciak był gotowy. (Potrzebnego kapitału dostarczyły — długi, zaciągnięte wspólnymi siłami). A pewnej majowej nocy fantastyczny statek wypłynął z Hawru.

Z początku szło wszystko jak najlepiej. Pogoda wprost niedzielna — przez osiem dni i nocy. A Kora słodka, jak miód, wesoła, wszystkich łaskawie traktująca. Kapitanem był naturalnie Artur, ale zachowywał się dosyć skromnie i nikt właściwie nie był o niego zazdrosny, pomimo że Kora wyróżniała go cokolwiek, stawiając mu głosem dziecięcym różne pytania techniczno-serdeczne.

Ale dziewiątego dnia Kora zaczęła ziewać. I dla zabawy jęła męczyć kapitana. Najpierw delikatnie...

— Ach, jak pan rozkazuje I... Aż głowa mię boli. Boję się bardzo, żeby pan nie dostał nagle manii wielkości.

Potem ostrzej. W noc księżycową spytała go cicho:

— Dla kogo bije moje serce? Bo przecież bije tak jak wasze serca... i z wami porusza okręt. Kogo ja kocham?

Artur zbladł. Bo naturalnie myślał:

„Ona mnie kocha”.

I wszyscy myśleli:



„Ona mnie kocha”.

A gdy Kora nachyliła się do niego i szepnęła mu do ucha imię osiemnastoletniego poety... serce Artura pękło z rozpaczy. Zachwiał się i runął.

Nikt za nim nie płakał. Kora z początku udawała poważną... ale nagle zaśmiała się pogardliwie i rzekła:

— A jednak płyniemy tak szybko jak przedtem. Najlepszy dowód, że serce Artura nie biło zbyt energicznie.

Na to zawołał osiemnastoletni poeta:

— Naturalnie, że nie. Kramarz był, nie kochanek, kiedy wpadł na concept, żeby robić z miłości maszynę i okręt nią poruszać.

Kora spojrzała na niego ostro i szepnęła:

— Lepiej robić z miłości dobrą maszynę niż złe wiersze...

Mariusz jęknął:

— Nie kocha mnie...

I upadł do morza.

Reszta mężczyzn nie posiadała się z wewnętrznego dobrego humoru. Każdy myślał z satysfakcją: Im nas mniej, tym lepiej. Ale Kora siedziała nachmurzona i szalem okryta na pokładzie i mówiła od czasu do czasu, patrząc na niebieskie fale:

— Wszystko pochodzi z tych ciągłych waszych kłótni i zawiści. Szkoda chłopca — co za osioł...

Była wściekła i niebezpiecznie było ją zaczepiać. Gustaw (który dla niej został ministrem) obserwował ją przez jakiś czas niespokojnie. Wreszcie nie mógł się

powstrzymać, przystąpił do niej i zaczął mówić nerwowo i cicho:

— Nie wytrzymam dłużej. Ciągła niepewność... W dodatku morze nie jest już tak spokojne jak przedtem. To wpływa strasznie na mój ustrój fizyczny i psychiczny. Dostyc tego!... Niech pani położy nareszcie koniec tej męce!

— Może pan każdej chwili wysiąść — powiedziała Kora przez zęby.

Gustaw ścisnął jej rękę.

— Nie śmieję się!... Mówię ci, że ten statek porusza się tylko moją miłością... Tylko moją! I wiem, że ty mnie także kochasz. Wylądujemy jak najprędzej... pozbadźmy się tych ludzi!... Powiedz, że mnie kochasz...

Kora zaśmiała się po raz pierwszy od śmierci Mariusza.

I śmiała się tak okropnie, że Gustaw zrozumiał. Przez balustradę skoczył do wody.

Dziwnym trafem od tej chwili woda znowu się uspokoiła.

— Cudowna pogoda! — zawołała Kora z uciechą do swoich towarzyszy.

Była nagle tak wesola jak na początku jazdy.

— Tańczyć! — krzyczała ciągle — tęskni mi się do tańca!... Ach!... gdyby tu było więcej miejsca!...

Tańczyła w wyobraźni. Patrzyła na wodę... i śmiała się; w głowie jej była muzyka i poruszał się cały balet...

A powodem tego wesela była nagła myśl, która jej po samobójstwie Gustawa przyszła do głowy. Myśl

cudowna, przepelniająca ją gorącą dumą. Z nadmiaru wesela szepnęła jeszcze na ucho Ryszardowi, że kocha Karola... — a potem Karolowi, że ubóstwia milczącego Teofila. A kiedy pękły z żalu i te dwa serca, zawołała z triumfem do wpatrzonego w nią niemego młodzieńca:

— Oto płyniemy tak szybko jak przedtem! Nic się nie zmieniło, nic. Czy nie czujesz, że płyniemy tak szybko jak przedtem?...

Młodzieniec (który niegdyś podobno mówił, ale teraz z miłości dla Kory już tylko na nią patrzył i patrzył) położył rękę na swych piersiach, jakby chciał powiedzieć:

„...To moje serce porusza statek. Serce moje, człowieka, który milczy. Wierz mi, serce człowieka, który milczy...”

— Nieprawda! — wołała Kora ze śmiechem. — Kłamiesz tak jak oni...

Oczy Teofila przysięgały:

— Nie kłamię. Moje serce porusza statek. Serce człowieka, który nie umie się wyrazić...

Ale Kora śmiała się i powtarzała:

— Nieprawda. Przyszła mi myśl cudowna... Myśl, że nikt inny nie porusza statku, tylko ja... ja sama! Ha! Ha! Ja sama! Słyszysz? Nie Kocham Ciebie. Mam za szerokie serce, żeby kochać jednego. Cały świat jest w moim sercu. Mam je tak silne i mocne, że nie potrzebuję Ciebie... nie potrzebuję nikogo. Idź... do morza zimnego, ty zimny... ja chcę tańczyć.

I rzuciła go do wody, gdy jeszcze na nią patrzył. I patrzył na nią, kiedy już podrzucała nim wzburzona

woda. I woda go pochłoneła, i znowu podniosła do góry... i on, już trup, jeszcze na Korę patrzył.

A Kora tańczyła. Sama tańczyła na statku, poruszonym jej sercem. I kochał ją księżyc, kochały ją gwiazdy... kochało ją dzikie, wzburzone morze. Bo była im siostrą. Bo była kobietą.

Tadeusz Rittner  
*Serce Kory, baletnicy*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-365-1

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)